

## SPOTKANIA

Na nadbrzeżu oczekiwali na nas urzędnicy Agencji Żydowskiej oraz kilku dziennikarzy i tragarze. W wielkiej hali każdy odebrał swoje walizki i ustawiliśmy się w długim ogonku do pobieżnej kontroli celnej. Między przybyszami kręciło się kilku religijnych, starszych ludzi. Wybierali na oko tych, których uznawali za nabożnych, i ofiarowali im pomoc. Innym rozdawali kartki z informacją w jidysz, jakiej pomocy udziela ich organizacja, oraz adresem, pod który można się zwrócić. Ktoś stwierdził, że to łapacze dusz: pomagają za bycie religijnym, a dzieci umieszczają w swoich zakładach wychowawczych.

Od pierwszych chwil po zejściu ze statku zaczęły się dla nas niespodziewane spotkania z dawnymi znajomymi. Zawieraliśmy też nowe znajomości. Izrael jest krajem małym, a ludzie są bardzo ruchliwi i ciekawi wszystkiego. Rozmawiając z kimś przypadkowo spotkanym, człowiek łatwo dowiaduje się: skąd on pochodzi, jakie koligacje mieli jego rodzice do trzeciego pokolenia, czym się zajmuje, gdzie rzuciły go losy w czasie wojny. Oczywiście musisz się zrewanżować i opowiedzieć mu o sobie. Ta chęć zbliżenia jest bez wątpienia skutkiem także ostatniej europejskiej wojny. W podświadomości wielu z tych, którzy zostali sami z niegdyś licznej rodziny, tli się jeszcze nadzieja, że ktoś z bliskich być może żyje i przypadek pomoże go odnaleźć. Chyba właśnie dlatego, zwłaszcza na początku pobytu w kraju, często natykałem się nagle na ludzi, których znałem z różnych okresów życia. Zdarzało się to chyba każdemu z nowo przybyłych.

Pierwszym znajomym, którego spotkaliśmy, był celnik sprawdzający nasze bagaże. Clila popatrzyła na niego i zawołała: „Szymon?!”. Był to jej kolega ze Związku Radzieckiego, z którym pracowała w ostatnich latach wojny w Polskim Domu Dziecka pod Stawropolem i który wraz z nią repatriował się do Polski. Wiedziała, że wyjechał do Palestyny, i oto nagle zobaczyli się po jedenastu latach. To spotkanie bardzo podniosło nas na duchu. Przestaliśmy czuć się aż tak zagubieni, bo z miejsca znaleźliśmy jakąś nić, która łączyła nas z poprzednim życiem.

Odprawa celna trwała krótko, otrzymaliśmy po dwa funty na osobę oraz paczkę z żywnością i ustalonymi jeszcze na statku grupami załadowali się do autobusów wraz z bagażami. Niemal wszystkich wysyłano do różnych miejscowości w głębi kraju, ale ludzi z wyższym wykształceniem umieszczono w Tiwonie, małej miejscowości lotniskowej w pobliżu Hajfy. Mieliśmy tam zostać, dopóki nie znajdziemy sobie gdzieś pracy.

Przejechaliśmy dolnym miastem, oglądając po prawej stronie wyniosły masyw Karmelu<sup>286</sup> ze świątynią bahaitów. W pobliżu portu ulice były w dobrym stanie, ale już kilkaset metrów dalej zaczęły się ruiny, całe place z kikutami dawno zniszczonych domów częściowo zakrytych nieśmiało wyrastającymi krzakami, widok niezbyt zachęcający. Pomiedzy przechodniami sporo było wyróżniających się ubiorem Arabów, co uświadomiło mi, że naprawdę przybyliśmy na Bliski Wschód. Autobus okrążył górę, mijając po lewej stronie pola uprawne, które zaprzeczały naszym wyobrażeniom o Izraelu jako pustynnym kraju. Przejechaliśmy przez dzielnicę składającą się z małych warsztatów oraz zakładów przemysłowych, a potem obok kamieniołomu i dużej cementowni. Oprócz cementowni i widocznej z daleka rafinerii całość nie sprawiała imponującego wrażenia.

Szofer wskazał na mijany przez nas szpaler drzew i żywopłot rozciągnięty u podnóża Karmelu i w kilku żydowskich słowach objaśnił, że to jeden z największych kibuców w kraju. Musieliśmy wierzyć mu na słowo, bo nic nie było widać. Potem masyw góry raptownie skierował się na południe, przejechaliśmy przez rzeczkę Kiszon, co też przyjęliśmy na słowo, i autobus z wysiłkiem zaczął wspinać się na wzgórze. Przy jakimś zakręcie rozciągał się duży kompleks baraków skleconych częściowo z blachy falistej. Jak wyjaśnił nasz „przewodnik”: pozostałość obozu dla uchodźców z pierwszych lat niepodległości kraju.

Ulice Tiwonu tonęły w zieleni, a po obu stronach ciągnęły się parterowe i jednopiętrowe domki z ogródkami. Samochód skręcił w jakąś boczną uliczkę i po kilkuset metrach się zatrzymał. Dźwigając bagaże, zesliśmy po schodkach na duży taras, gdzie stało parę stołów, przy których rozdawano wodę z sokiem do picia. Trafiliśmy do pensjonatu „Dalia” – kilku niedużych pawilonów zbudowanych na zboczach wzgórza poniżej poziomu ulicy – który na jakiś czas miał stać się dla nas domem.

Energiczna, młoda właścicielka porozdzielała rodziny do pokojów. My otrzymaliśmy dwa mikroskopijne pokoiki z drzwiami wychodzącymi wprost na ogród z małym basenem. Dla dzieci był to raj na ziemi, zwłaszcza że w pensjonacie panowała swojska i wiejska atmosfera. Gospodyni pochodziła z Niemiec i rozmawiała z nami po niemiecku, a jej mąż, który pochodził z Galicji, mówił po polsku i żydowsku. Agencja Żydowska zapewniała nam tu tylko mieszkania, ale właścicielka pensjonatu zorganizowała tanią kuchnię, w której mogliśmy kupować

<sup>286</sup> Karmel – masyw górski w północnej części Izraela nad Morzem Śródziemnym, którego najwyższa góra Karmel (546 m n.p.m.) góruje nad zatoką i miastem Hajfa.

gotowe dania, a ponadto w każdym pokoju znajdował się naftowy piecyk, na którym mogliśmy gotować. Na początek byliśmy urzędzeni.

Następnego dnia pojechałem do biur Sochnutu w Hajfie, znajdujących się tuż obok portu. Do chwili znalezienia pracy i wejścia do mieszkania wszyscy olim, czyli nowi imigranci, pozostawali pod opieką Agencji Żydowskiej. Sprawami „akademików” zajmował się specjalny wydział o nazwie Patwa, który mieścił się w baraku, dobudowanym na dachu czteropiętrowego budynku. Wpisałem się na listę interesantów i wdałem w rozmowę z innymi czekającymi na przyjęcie. Niektórzy byli w kraju już od jakiegoś czasu i teraz chętnie dzielili się doświadczeniem z „nowymi”. Kolejka posuwała się dość sprawnie i wywołano mnie już po godzinnym oczekiwaniu.

Izrael miał wówczas przeszło dwa miliony mieszkańców, w tym milion osiemset pięćdziesiąt tysięcy Żydów. Większość urodziła się w diasporze, a Żydzi polscy stanowili wśród nich poważny odsetek. Na ulicy, zwłaszcza w Tel Awiwie, język polski nie był rzadkością i człowiek nieznający hebrajskiego z łatwością mógł uzyskać informację. Młody urzędnik, który mnie przyjął, także mówił po polsku. Na biurku przed nim leżała moja teczka z danymi, które podałem na statku i jeszcze w Polsce, w ambasadzie. Wręczył mi czterdzieści funtów na potrzeby rodziny i powiedział, że to bezwrotna zapomoga, następne sumy otrzymam już w charakterze pożyczki. Potem wypytał mnie o doświadczenie zawodowe, zdjął z półki książkę adresową i wypisał z niej przedsiębiorstwa, które ewentualnie mogłyby mnie zatrudnić. Na liście znalazł się Instytut Geologiczny, Ministerstwo Rozwoju, kilka firm naftowych, przedsiębiorstwo Machcawej Izrael zajmujące się produktami skalnymi oraz Tahal zajmujące się gospodarką wodną. Poprosił, abym poczekał przed barakiem, aż sekretarka przygotuje dla mnie listy polecające do tych instytucji, i wyszedłem. Reszta należała do mnie.

Wiedziałem, że w Hajfie albo w jej okolicy mieszkają dwaj moi przyjaciele, Fule Perelman<sup>287</sup>, z którym ukrywałem się w ziemiance, i Naftali Feder<sup>288</sup>, którego poznałem w moich kibucowych czasach. Po wyjściu z Agencji odszukałem biura ewidencji Zarządu Miejskiego, gdzie dość szybko podano mi adresy ich obu. Rafael mieszkał niedaleko, na zboczach Karmelu, Naftali w jakimś osiedlu

<sup>287</sup> Fule Perelman był jednym z czołowych działaczy związków zawodowych na terenie Galilei. Zmarł w 1982 r.

<sup>288</sup> Naftali Feder (ur. 4 stycznia 1920 w Olkuszu, zm. 11 stycznia 2009 w Izraelu) – izraelski polityk, członek Knesetu z ramienia Koalicji Pracy. Po wybuchu II wojny światowej dostał się na wschód i walczył w szeregach Armii Czerwonej. Po zakończeniu wojny wstąpił do Ha-Szomer ha-Cair, był redaktorem żydowskiej gazety wydawanej w języku niemieckim. W 1949 emigrował do Izraela, gdzie był m.in. skarbnikiem rady miasta Beer Szewa, sekretarzem w partii Mapam, przewodniczącym departamentu ds. dzieci-uchodźców w UNRWA (Agencji Narodów Zjednoczonych dla Pomocy Uchodźcom Palestyńskim na Bliskim Wschodzie). W 1977 wybrany do Knesetu, izraelskiego parlamentu, w którym zasiadał przez dwie kadencje.

pod Hajfą. W mieszkaniu Fulego nikogo nie zastałem, ale od uprzejmej sąsiadki dowiedziałem się, że pracuje jako kierownik pobliskiego oddziału Kasy Chorych. Powiedziała mi, jak mam tam dojść.

W wielkim pokoju zastawionym kilkoma biurkami rejestrowali się pacjenci. Wskazano mi pokój kierownika, zapukałem i otworzyłem drzwi. Fule rozmawiał akurat z jakimiś dwoma petentami, siedzącymi do mnie tyłem. Spojrzał na mnie, wstał i przez chwilę nie mógł wydusić z siebie słowa. Zatkaną go. Potem ruszył w moim kierunku i padliśmy sobie w objęcia. Przedstawił mnie kilku swoim współpracownikom, powiedział, że przerywa pracę, i wyszliśmy.

Usiedliśmy w jakiejś kawiarni i pokrótce zaczęliśmy sobie opowiadać nasze powojenne dzieje. Fule odnalazł w Łodzi paru towarzyszy z partii Poalej Syjon, którzy przeżyli, i ponownie włączył się w jej działalność w Polsce. Potem trafił na Węgry, gdzie zajmował się nielegalną emigracją tamtejszych Żydów, a następnie pracował przy przetrzucaniu do Palestyny ludzi z Austrii, Niemiec i Włoch. W Hajfie wyładował w 1949 roku.

– Z twoim zawodem nie będziesz miał większego problemu, by znaleźć tu pracę – przewidywał. – A jeżeli pojawią się trudności, to mam znajomości w odpowiednich miejscach i ci pomogę.

Podał mi adres swego młodszego brata Arona, który ukrywał się z nami w ziemiance, a teraz, jak się dowiedziałem, był rolnikiem i prowadził gospodarstwo pod Ramlą. Umówiliśmy się, że w najbliższych dniach przyjadę z całą rodziną do niego i jego żony i spędzimy razem kilka dni.

Było jeszcze wcześniej, więc postanowiłem odwiedzić także Naftalego i Marylkę. Naftali przeżył okupację w Rosji, służył w Czerwonej Armii, a po wojnie na Dolnym Śląsku został kierownikiem szkoły dla dzieci żydowskich. Marylka, jego żona, była aktywistką w syjonistycznym ruchu młodzieżowym. Oboje po pogromie kieleckim wyjechali z całą szkołą do Niemiec i w 1950 roku dotarli do Izraela.

Szukałem ich dość długo, błąkając się po piaszczystych uliczkach osiedla Neszer u wschodniego podnóża Karmelu. Mieszkali w dwurodzinnym domku z małym ogródkiem i kiedy nadszedłem, Marylka stała przy furtce. Gdy mnie zobaczyła, narobiła takiego krzyku, że zewsząd zeszedli się sąsiedzi. Zaprowadziła mnie do domu i czekaliśmy, aż Naftali wróci z pracy. Był sekretarzem Zarządu Muncypalnego osiedla. Mieli już dwoje dzieci: córka urodziła się w Niemczech, a półroczny syn tutaj. Zjadłem z nimi obiad i opowiedziałem o sobie. Naftali z miejsca zaofiarował mi pomoc.

– Ministerstwo Rozwoju jest w rękach mojej partii, a ja znam Premingera, zastępcę dyrektora generalnego. Dam ci do niego list – zaczął snuć plany.

Ponieważ skończył w Polsce hebrajskie gimnazjum, poprosiłem, żeby przetłumaczył mój dyplom i pomógł mi napisać życiorys oraz prośbę o przyjęcie do pracy, i zanim się pożegnałem, siedzieliśmy nad tym godzinę. Następnego dnia miałem przyjść po te dokumenty do niego, do biura, już przepisane na maszynie.

W najbliższą sobotę Naftali niespodziewanie zjawił się w Tiwon. Przywiózł Meira Małego, niegdyś kicrownika naszego kibucu w Wałbrzychu, który mieszkał teraz w kibucu Jakum na południe od Netanii. Meir, jak ja, były żołnierz Wojska Polskiego, które przyszło z Rosjanami, organizował po wojnie na Dolnym Śląsku młodzież chcącą wyjechać do Palestyny i w 1949 roku sam dotarł do kraju. Przywieźli duży bukiet kwiatów dla Clili oraz czekoladę dla dzieci. Spędziliśmy kilka godzin na wspominkach i rozważaniu, jak nam się ułoży w nowym kraju. Oni też byli przekonani, że szybko znajdę pracę.

Wkrótce znów wybrałem się do biura Sochnutu, żeby przekazać informacje na temat naszego bagażu, który podróżował drogą morską. Urzędnik po wypełnieniu niezbędnych formularzy zagadnął mnie:

– Mieszkał pan w Poznaniu także przed wojną?

– Tak.

– Więc może znał pan Manię Wajshoff, Idę Milewicz, Hansa Mendla, Felka Mornela? – zaczął wymieniać.

– Oczywiście, że ich znałem. Wszyscy w Poznaniu znaliśmy się osobiście albo przynajmniej ze słyszenia.

– Teraz to członkowie mojego kibucu – powiedział.

Cała czwórka były starsza ode mnie o dobre dziesięć lat. Mania i Felek wyjechali z Polski jeszcze w latach trzydziestych, a o Hansie słyszałem do teraz, że był w getcie warszawskim i chyba w 1942, a może w 1943 roku wyszedł na aryjską stronę. Jakimś sposobem przedostał się na Węgry, a potem do Rumunii, gdzie załatwiono mu podróż statkiem do Palestyny. Dotarł tutaj w 1944 roku.

Mój rozmówca mieszkał w kibucu Ein Ha-Szofet, trochę na południe od Hajfy, i zaproponował, żebym się tam z nim wybrał.

– Pojedziemy podczas przerwy obiadowej moim samochodem, zjemy obiad i po południu wrócimy – powiedział. – Znajomi przyjmą pana serdecznie, jestem pewien. Gość z ich miasta, do tego taki, który przeżył wojnę w Polsce, jest tutaj zjawiskiem rzadkim.

Mania miała dyżur w stołówce i oczywiście nie poznała mnie. Chodziłem z jej najmłodszym bratem do szkoły i dobrze znałem jej rodzinę. Kiedy przedstawiłem się, od razu wiedziała, kim jestem, i bardzo się ucieszyła. Usiadła ze mną przy stole i wypytywała o wspólnych znajomych.

– Hans zaraz przyjdzie, ale nazywaj go Icchak – uprzedziła mnie w pewnym momencie. – Porzucił swoje niemieckie imię i nie przebaczy nikomu, kto go tak nazwie. Przystanie się do ciebie odzywać.

Hans pochodził z rodziny „jerkowskiej” i uchodził wśród żydowskiej młodzieży Poznania za „wiecznego szomra”. Chętnie przebywał w towarzystwie znacznie młodszych od siebie, a ponieważ był sympatyczny i znajdował z nami wspólny język, lubiliśmy go, choć uważaliśmy trochę za dziwaka. Miał szerokie zainteresowania, zbierał znaczki pocztowe, fotografował, dużo pieszko wycieczkował. Zdobyl dużo wiadomości i potrafił interesująco opowiadać o różnych rzeczach, więc

traktowaliśmy go jak żywą chodzącą encyklopedię. Poza tym był poliglotą, biegle, choć z niemieckim akcentem, mówił po polsku, znał nawet arabski. Chyba z tego tytułu on – Żyd, pracował w latach trzydziestych w niemieckiej firmie eksportującej produkty rolne. Był też honorowo przedstawicielem żydowskiej młodzieży w Zarządzie Gminy, a jakiś czas zajmował się tam nawet, jak mi się zdaje, księgowością.

W kibucu Mendel był odpowiedzialny za instalacje nawadniające, a prywatnie, opowiadała Mania, stał się zapalonym archeologiem amatorem i każdego roku spędzał urlop na wykopkach starożytności. Kilka lat później, kiedy pracowałem w okolicy Akko, rzeczywiście spotkałem go przy odkopywaniu jakiegoś fenickiego osiedla sprzed 3500 lat.

Rozmawialiśmy i kilkakrotnie słyszałem, jak ktoś w jadalni woła „Jurek”. Podeszła do mnie jakaś kobieta.

– Jurek, dlaczego się nie odzywasz? – zapytała.

Nie sądziłem, że chodzi o mnie. Byłem Jurkiem podczas wojny i dawno przestano mnie tak nazywać. Ale ją rozpoznałem: miała na imię Rachelka i spotkaliśmy się w lipcu 1945 roku, kiedy moją jednostkę po wycofaniu z Niemiec zakwaterowano na kilka tygodni we Włocławku. Tamtejsi ocalali Żydzi mieszkali razem w jednym domu, zaglądałem do nich i zaprzyjaźniłem się z kilkoma młodymi ludźmi, między innymi z nią i z Szolkim, za którego, jak teraz się dowiedziałem, wyszła potem za męża. Przywitaliśmy się serdecznie, ale musiałem się tłumaczyć, dlaczego nie reagowałem na „swoje” imię. Nadeszli pozostali poznańscy i spotkanie z nimi było bardzo przyjemne, ale niestety nie mogłem im nic powiedzieć o losach ich najbliższych.

Następnego dnia rano pojechaliśmy całą czwórką do Hajfy, do Fulego i jego żony Lizy, która pochodziła z Ukrainy. Pobyłem z nimi krótko, a potem pojechałem pociągiem na kilka dni do Tel Awiwu w poszukiwaniu pracy. Clila z dziećmi mieli pozostać na ten czas u Rafaela.

Na dworcu w Hajfie natknąłem się na innych przybyszy z Polski, którzy też wybierali się do Tel Awiwu. Wyróżnialiśmy się ubiorem i zachowaniem, więc łatwo się rozpoznawaliśmy, nawet bez rozmowy. Wsiadliśmy do jednego wagonu i oczywiście zaczęliśmy gadać o pracy, naszej najpoważniejszej wówczas trosce. Pociąg ruszył i wkrótce przyszedł konduktor, który słysząc, jak rozmawiamy, poprosił czystą polszczyznę o bilety. Po obejściu wszystkich pasażerów wrócił do nas, przysiadł się i spytał, skąd pochodzimy. Większość pochodziła z Łodzi, niektórzy z Kresów. Kiedy powiedziałem, że jestem z Poznania, stwierdził, że jego żona, która pochodzi z Konina, miała w Poznaniu kuchynia.

– Jak się nazywał – spytałem.

– Lasman. Zdaje się Abram Lasman.

Zdębiałem.

– Jeżeli tak, to jesteśmy kuzynami. To był mój ojciec!